Józef Łobodowski

Źródło: *Kresy* 1992, nr 9-10

„Dusze chce łowić...”

Przed kilkunastu laty, pisząc w paryskiej „Kulturze” o środowisku literacko-artystycznym Lublina, wspomniałem o Loży Wielkiego Uśmiechu, założonej w tymże grodzie trybunalskim na przełomie lat 1931-32. Inicjatorem był Józef Czechowicz, więc z natury rzeczy wybraliśmy go Bratem Prezesem. Każdy ze szczupłej grupki założycieli miał odpowiednie stanowisko w zarządzie. Ja otrzymałem tytuł Brata Starszego. Posiedzenia Loży odbywały się w dniach powszednich w niewielkiej cukierni Semadeniego (na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Staszica), w niedziele i święta u Rutkowskiego. Każde posiedzenie zaczynało się od odczytania rymowanej listy członków. Brat Prezes mówił pierwsze wers, a całą reszta chóralnie – nazwisko. Wyglądało to następująco. Prezes: Światu urąga..., chór: Brat Henio Donga!, Piękny, jak łandysz (o rosyjsku konwalia. Innego rymu autor nie znalazł), chór: Józio Falandysz!, Piekieł psalmodia... Sancta Łobodia! I tak dalej. Aż na samo zakończenie: Dusze chce łowić... Józef Czechowicz!

W poetyckiej grupie „Reflektora”, zanim zdążyła się rozlecieć, Czechowicz był najmłodszy i początkowo przez starszych kolegów traktowany dość lekceważąco. Rej wodził Konrad Bielski, któremu powszechnie wróżono wielką przyszłość, na drugie miejsce wysuwał się Stanisław Grędziński; zaraz po nim Wacław Gralewski (żartobliwie: Gacio Wralewski). Kiedy powstała nasza Loża, grupa „Reflektora” już nie istniała, a czasopismo wydawane przez nią należało do przeszłości. Grędziński wyjechał nie wiadomo dokąd i zmylił pogonie; nikt więcej o nim nigdy nie usłyszał. Bielski po ukończeniu aplikantury prawnej i ożenku, przeniósł się do Krasnegostawu i założył tam kancelarię adwokacką. Gralewski przestał pisać wiersze i uprawiać sport (głównie tenis), pilnował fotela redaktorskiego, zalecał się do aktorek i grał w brydża. Na placu pozostał Czechowicz. Już pierwszym tomem *Kamień* zyskał sobie pozycję wśród młodych poetów. Mocne macie ręce, Czechowicz! - pisał o nim w „Kwadrydze” K. I. Gałczyński. Drugim tomem *Dzień jak co dzień* wypłynął na szerokie wody: entuzjastyczna recenzja Stefana Napierskiego (onże Marek Eiger) ukazała się w „Wiadomościach Literackich”. Zawiera ważne znajomości i przyjaźnie. Cenili go wysoko mające duże wpływy Adam Skwarczyński i trzęsący warszawskimi teatrami Wilam Horzyca, a gdy powstał „Pion”, Stefan Flukowki, który był sekretarzem redakcji, natychmiast wprowadził go do tygodnika. „Pion” został pomyślany jako konkurencja dla „Wiadomości Literackich”, ale po pierwszych przelotnych sukcesach okazał się dzieckiem niezbyt udanym (w Warszawie mówiono o nim z jadowitą ironią: „Pion nie ma poziomu”!).

Z grupą wiadomości literackich stosunki bardzo szybko się popsuły. Gdy Czechowicz opierzył się literacko i zdobył sobie nazwisko (początkowo tylko wśród młodych z tzw. Drugiej Awangardy), zaczął prowadzić podjazdową walkę z „Wiadomościami”. Skamandrytów nie cenił, więc mu odpłacano pięknym za

nadobne. Po obu stronach było więcej złej krwi, niż słuszności. Nie szczędzono sobie nawzajem złośliwych uwag. Gdy ukazał się trzeci z kolei tom Czechowicza, odnotowano go w rubryce nowych książek w „Wiadomościach" w zgryźliwy sposób: Ballada z tamtej strony (Wisły). W r. 1935 Grydzewski wznowił „Skamandra"; Czechowicz nie został do niego zaproszony. Najmocniej szydził z niego Słonimski: Pożyczyłem sobie tego Czechowicza. Po czym z potężnego poematu *Dom świętego Kazimierza* (naturalnie, rzecz o Norwidzie) i po zacytowaniu jednej, niezbyt udanej, wyrwanej z kontekstu metafory przekreślił go jednym zamachem pióra. Wreszcie doszło do nieprzyjemnego konfliktu, z którego Czechowicz wycofał się bardzo niezręcznie.

K. W. Zawodziński wrócił po dłuższej przerwie do „Wiadomości Literackich", jako krytyk poetycki. Czechowicza także nie doceniał. Zaraz po powrocie do tygodnika Zawodziński ogłosił recenzję z nowego tomu Słonimskiego *Okno bez krat*. Czechowicz w odpowiedzi na ankietę „Okolicy" Stanisława Czernika, ojca i teoretyka tzw. autentyzmu, oświadczył, że recenzja ta była ceną za powrót do „Wiadomości Literackich". Recenzja była istotnie pochwalna bez zastrzeżeń, ale Czechowicz nie miał racji. Zawodziński napisał ją szczerze, bo mu prozodia Słonimskiego całkowicie odpowiadała. Na niesłuszną insynuację Czechowicza zareagował w sposób gwałtowny, niemal brutalny. Powstał skandal literacki.

Ten w liście do jednego z czasopism zapytał dość naiwnie a w każdym razie nieoględnie, co właściwie ma zrobić – wyzwać pana rotmistrza na pojedynek? (Zawodziński miał za sobą karierę rotmistrza ułanów oraz instruktora jazdy konnej). Replika była zabójcza. Zawodziński odpowiedział, że o żadnym pojedynku nie może być mowy, ponieważ zgodnie z obowiązującym kodeksem Boziewicza mężczyźni typu Czechowicza nie mają prawa do postępowania honorowego. Wszyscy dobrze wiedzieli, co to znaczy. Rozżalony Czechowicz zapowiedział kategorycznie, że wycofuje się z dalszej twórczości literackiej i nazwał swój następny tom *Nic więcej.* Były to czcze pogróżki. Nieprzyjemna sprawa, sprowokowana przez niego samego, rychło rozeszła się po kościach; po krótkiej przerwie poeta zaczął znowu drukować. Jeszcze przed wojną zdążył wydać swój ostatni tom *Nuta człowiecza.* A we wrześniu 1939 przyszła podczas bombardowania Lublina śmierć, którą Czechowicz od dawna przeczuwał i poświęcił jej nadejściu wiele najświetniejszych liryków.

Kiedy poznałem Czechowicza, już nie uznawał kobiet. Podobno zmiana upodobań nastąpiła nie od razu; w poprzednim okresie miał prowadzić dość intensywne i najzupełniej normalne życie erotyczne. Jak wielokrotnie podkreślał, trwało krótko, ale intensywnie. Znajdujemy ślady tego okresu, choćby w takim fragmencie wiersza: *Tapczan zgrzany, jak rola, orzą lemiesze kolan...* Ale wkrótce sytuacja zmieniła się o 180 stopni. Beznadziejnie kochała się w nim mała, skromna nauczycielka i tej zadedykował poniższe, jakże delikatne wersy: *Słuchaj te słowa, co cichną, to dla ciebie erotyk, srebrna duszyczko zwrotek, Marychno!* To było wszystko.

Kilkunastoletni Stefanek G. uchodził oficjalnie za siostrzeńca, ale nim nie był. Po paru latach, już w Warszawie, gdy chłopak zmężniał i zgłosił się ochotniczo do służby wojskowej w lotnictwie, doszło do zerwania, które Czechowicz przeszedł bardzo boleśnie. Napisał wtedy poemat, dla postronnych całkiem

enigmatyczny, zakończony takim zwrotem do odchodzącego: *Nie żałuj, wstąpiłeś w mit!* Wysilone komentarze tych krytyków, którzy nie znali intymnej podszewki utworu, wypadły rozczulająco naiwnie. Po przeniesieniu się do Warszawy i objęciu redakcji czasopisma literackiego wydawanego przez Związek Nauczycieli, Czechowicz zarabia bardzo dobrze, tym bardziej, że miał dostęp do „Pionu" i radia. W „Płomyku" i „Płomyczku" drukuje czarujące wiersze dla dzieci. Oto wymowne: *Gliniany konik wszedł na wazonik, by się spokojnie przespać do świtu. Synku maluśki, do swej poduszki i ty się przytul*.

Mimo to z funduszami było wciąż krucho. Stefanek sporo kosztował, a po jego odejściu następny był jeszcze bardziej wymagający. Zwykły los tego rodzaju romansów. Swego czasu Czesław Miłosz opisał te sprawy najpierw w „Kulturze" paryskiej, następnie w tomie *Kontynenty.*

O wiele bardziej zajmuje mnie co innego, mianowicie stosunek poety do jego matki. W każdym tomie Czechowicza (wydał ich sześć) mamy co najmniej jeden wiersz o matce, a wszystkie bardzo urodziwe. Stąd powstała wersja, że żywi do niej niezwykle intensywna miłość. Tu rodzi się problem, obchodzący chyba w znacznym nasileniu zawodowych psychologów, niż krytyków i historyków literatury. Jeszcze w Lublinie uderzyło mnie, ze nigdy, przy żadnej okazji, nikt z nas nie zetknął się z matką Czechowicza. Domyślałam się, że nie chce się nią popisywać, że to prosta, niewykształcona kobieta. Ale wiersze jej poświęcone zmuszały do przekonania, że syn nie tylko ją kocha, ale wręcz ubóstwia. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy na krótko przed jej śmiercią dowiedziałem się, że przez całe lata pracowała w lubelskim magistracie, jako pomywaczka, szorując podłogi i schody i zarabiając psie pieniądze. Stara, schorowana kobieta! A ponadto nigdy nie chciała mówić z nikim o swoim synu. Tak wyglądała rzeczywistość.

Więc jak – udawał? Absolutnie to wykluczone; wiersze o matce należą do najczystszej, najmocniej wyczutej, najoczywiściej szczerej liryki. Rozdwojenie jaźni? Powtarzam – to raczej temat dla psychologów. Dodam, że gdy Czechowiczowa umarła, jej syn wrócił z cmentarza rozbity, roztrzęsiony, z trudem powstrzymujący płacz. Aktor? Także i w to nie wierzę. Całą sprawa nie mieści mi się w głowie i staję przed nią najzupełniej bezradny. Nie dla mnie takie zawiłe komplikacje, niemal potrącające o patologię. Czy był mitomanem? Wiele na to wskazuje, ale to chyba tylko pozory. Mitoman wierzy we własne zmyślenia. Sądzę, że Czechowicz tworzył dokoła swojej osoby różne legendy z całą świadomością upiększając własny żywot, który w gruncie rzeczy był szary i monotonny. Ale w te legendy nie wierzył. A było ich mnóstwo. Opowiadał mi Konrad Bielski, że Czechowicz nagle zawiadamiał przyjaciół o rzekomym wyjeździe do Warszawy w doniosłych sprawach, po czym zamykał się w mieszkaniu i nie wychodził z niego przez kilka dni. Kiedy indziej zapewniał, że otrzymał z Hollywoodu zamówienie na scenariusz filmowy, który przyniesie grubsze pieniądze. Był oto jeszcze jedno malownicze zmyślenie. Gdy go złapano na kolejnej fikcji, rumienił się, przyznawał rację i gorąco przepraszał. Prawdziwi mitomani tak nie postępują.

Tadeusz Kłak, zamieszkały w Lublinie i tam pracujący, specjalizuje się w badaniu życia i twórczości Czechowicza. Czyni to z nadmierną wiarą, a mianowicie bierze za czystą prawdę wszystko, co poeta oświadczył publicznie i opowiadał w swoich listach. Szanowne złudzenie i w konsekwencji grube nieporozumienie.

Oto reprezentacyjny przykład. Utrzymuje się legenda, że głównym motorem i animatorem Zawiązku Pisarzy Lubelskich był Czechowicz. Nic podobnego! Owszem, był, jak tyle razy, inicjatorem, ale tylko tyle. Pierwsze zebrania Związku, który jeszcze niczego nie mógł organizować publicznie, bo nie był zalegalizowany, odbywały się w prywatnym mieszkaniu poety przy ulicy Radziwiłłowskiej, gdzie przy stole mieściło się siedem, osiem do dziesięciu osób. Sam gospodarz, Franciszka Arnsztajnowa, Antoni Madej i ja, jeszcze trzy albo cztery osoby plus sprowadzony prelegent. Jednym z najpierwszych był Jerzy Braun, który naturalnie przyjechał z dokładnym omówieniem filozoficznej doktryny Hoene-Wrońskiego.

O wystąpieniach publicznych nie mogło być nawet mowy. Gdy na wiosnę 1934 wróciłem po kilku miesiącach nieobecności do Lubina, dowiedziałem się, że zalegalizowanie Związku wymaga uzupełnienia listy członków – założycieli. Lubiłem wtedy chadzać na piechotę. Więc poszedłem pieszo najpierw do Krasnegostawu i wziąłem podpis od Konrada Bielskiego; następnie do Chełma, po podpis od Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, popularnego KAJ-a, i wreszcie do Stołpia (ludna, międzynarodowa wieś: Polacy, Ukraińcy, Niemcy, Żydzi), gdzie akurat osiedlił się po ukończeniu seminarium nauczycielskiego Wit Kasperski z młodziutką żoną.

Przyniosłem do Lublina brakujące trzy podpisy, Związek został zalegalizowany i zaczęła się dość intensywna akcja kulturalna: co tydzień referat z publiczną dyskusją.

Czechowicza już od przeszło roku w Lublinie nie było. Żadnej roli w naszej akcji nie odgrywał, tyle że parę razy przyjechał na wspólne wieczory autorskie. Ale w prywatnych listach z uporem przypisywał sobie rolę kierowniczą, podtrzymując absurdalną legendę. Zawsze przypuszczałem, że było w tym więcej przekornej zabawy, niż świadomej megalomanii.

Czechowicz chciał redagować pismo literackie; miesięcznik Związku Nauczycieli mu nie wystarczał ze względu na swój ograniczony charakter. Ciągle miał pretensje do Jaworskiego, że ten nie zgadzał się oddać mu w pacht chełmskiej „Kameny” oraz do mnie, żem w „Dźwigarach” rządził się udzielnie i nie liczył z postronnymi mentorami. Jego marzenie spełniło się po latach, ale zbyt późno. Kierownik księgarni Hoesicka, Marian Sztajnsberg dał się namówić na wydanie kwartalnika „Pióro” pod redakcją właśnie Czechowicza. Pierwszy numer wypadł bardzo okazale: garść dobrych wierszy mało jeszcze znanych, a doskonale zapowiadających się poetów (Stachowski, Marian Niżyński), ciekawe eseje. Ale ogólną tendencje literacką „Pióro” w większym stopniu zawdzięczało młodemu, coraz bardziej wybijającemu się krytykowi, Ludwikowi Fryde, niż naczelnemu redaktorowi.

Drugi numer czasopisma, który miał wyjść na jesieni 1939, a więc z dużym opóźnieniem, spłonął w pożarach wrześniowej Warszawy. Trudno przesądzać, jakby wyglądał dalszy rozwój „Pióra”, gdyby wojna nie wybuchła. Czy nastąpiłoby złagodzenie wyraźnie sekciarskiego charakteru pierwszego numeru, czy odwrotnie: skrajna postawa zostałaby utrwalona? W Polsce lat trzydziestych krytycy i teoretycy poetyccy byli w większości ekstremistami. Z jednaj strony Zawodziński, z drugiej – Peiper, Przyboś, Fryde, Eiger-Napierski, kapryśny, przewrażliwiony, często niesprawiedliwy, zachował się najbardziej umiarkowanie, potrafił uwzględniać przeciwstawne prozodie, unikając typowego u innych sekciarstwa. Właściwie oceniany

w pewnych środowiskach literackich, a nawet czczony, Czechowicz boleśnie przezywał brak powszechnego uznania, pocieszał się: kiedyś sława ciemnym złotem zaleje mój grób. Nieraz zastanawiałem się: jakby się zachował, gdyby przeżył wojnę i pozostał w kraju? Czy poszedłby na poniżający kompromis, jak Tuwim, Iwaszkiewicz, Słonimski, Broniewski, Gałczyński i tylu innych, czy też zamilkłby i usunął się w cień? Trudno przesądzać! Jedno pewne: do socrealizmu zupełnie by nie pasował. Gdyby spróbował do niego doszlusować, doszłoby do kompletnej plajty artystycznej.

Przez dłuższy czas o Czechowiczu było w kraju głucho, nikt go nie przypominał, jego poezja nie miała reedycji, nie docierała do czytelnika. Upomniano się o niego najpierw na emigracji (Czesław Miłosz w paryskiej „Kulturze"), potem także w kraju (Jan Śpiewak i Seweryn Pollak). Wkrótce posypały się wspomnienia, eseje, całe książki. Tu i tam święciły swe triumfy tendencje różnego rodzaju. Miłosz pisał o Czechowiczu z sympatią nie zawsze celną. W ostatecznej konkluzji pisarz uznał, że był to poeta minor, z czym trudno się zgodzić.

Zdarza się, że przesadna ocena własnej twórczości i zadrażniona ambicja popycha ku ocenom, nie zdającym egzaminu już w najbliższym czasie. Poirytowany Jan Lechoń zanotował w swoim *Dzienniku*, że po dwudziestu latach nikt nie chce czytać Józefa Czechowicza i Czesława Miłosza. No cóż, wypadło zupełnie inaczej. Obydwaj spostponowani poeci mają po latach znacznie więcej czytelników, niż zadufany w swojej wielkości Lechoń. Megalomania nie sprzyja bezstronnym ocenom. Oczywista, Lechoń gdy pisał *Dziennik*, był już człowiekiem psychicznie zwichniętym, aż ten stan, pogłębiający się z każdym rokiem doprowadził go do tragicznego rozwiązania. Lektura jego notatek jest, wbrew opiniom niektórych entuzjastów, niestrawna i niezmiernie przykra, przynajmniej dla mnie. Najdziwniejsze, że o tym mało kto wie, Czechowicz miał duże ambicje polityczne. Jeszcze w Lublinie chciał zostać posłem do Sejmu i poważnie zabiegał, aby BBWR wysunął jego kandydaturę. Ale nie wzięto tych starań pod uwagę. W roku 1932 był przez pewien czas redaktorem naczelnym dziennika „Kurier Lubelski". Redaktorem był mizernym, nie potrafił nadać dziennikowi jasnego oblicza politycznego. Natomiast dział literacki stał na dość wysokim poziomie. Było tego za mało, by zyskać licznych czytelników. Działo się to w okresie kryzysu i bezrobocia. Klęska gospodarcza dotknęła przede wszystkim województwa rolnicze, między innymi Lubelszczyznę. Łońskiego roku nieurodzaj – szemrali bezrolni bandosi – teraz jakiegoś tam krezusa wymyśliły!

Był Czechowicz poetą krajobrazu i wsi, rozmiłowanym w polskim folklorze. Stąd naturalna śpiewność jego rytmiki, istniejąca w twórczości Awangardy Krakowskiej. To cecha chyba najsilniej różniąca go od Przybosia, choć ten, jako autentyczny chłop, powinien był Czechowiczowi co najmniej pod tym względem dorównywać. Może to wynikało z różnicy między lubelską urodzajną borowiną i piachami w Gwoźnicy? Nie wiem, ograniczam się do stwierdzenia faktu. Przyboś, bodaj świadomy swej klęski, zawsze usiłował Czechowicza lekceważyć, a jego rytmikę utożsamiał ze śpiewnością lenartowiczowską, co było niewątpliwym nonsensem. Zakładam, że na krótko przed wojną „papież awangardy" zaczynał zdawać sobie sprawę ze smutnej prawdy, iż poetycki „rząd dusz" na jego własnym terenie szybko przechodzi w ręce autora *W błyskawicy.* Bomba niemiecka pozbawiła Przybosia późniejszego konkurenta.

Kiedyś przypomniałem sobie mój dialog z Franciszką Arnsztajnową, która była poetką niezbyt dużej klasy, ale wielką panią w każdym wymiarze. Zapytała o mój stosunek do Czechowicza. Gdy zwlekałem z odpowiedzią, stwierdziła, że to znakomity poeta, więc trzeba przyjmować go „z całym dobrodziejstwem inwentarza", co znaczy patrzeć przez palce na wszystkie jego wady. Bo poezja przechyla szalę na korzyść grzesznika, choć o wielu rzeczach nie było łatwo zapomnieć. Musiałem zgodzić się z Arnsztajnową: trzeba przyjąć Czechowicza „z całym dobrodziejstwem inwentarza".

Niewątpliwie jest to jeden z najczystszych liryków w polskiej poezji wszystkich czasów. Na temat „poezji czystej" i „nie-czystej" wylano morze atramentu, przeważnie z mizernym skutkiem. Koło tego zagadnienia narosło tyle nieporozumień, fałszów, frazeologicznych nadużyć, że prawda przeważnie tonęła w brudnych mydlinach retorycznych rozważań. W gruncie rzeczy różnica między poezją czystą i zaangażowaną przebiega bardzo kapryśnie, a często jest zupełnie niewidzialna. Ta granica u Czechowicza (podobnie jak u Marii Pawlikowskiej – inny typowy przykład) prawie zawsze świeci nieobecnością. A zresztą potępianie w czambuł tzw. poezji publicznej polega na nieporozumieniu.

Przecież *Grób Agamemnona* to publicystyka, a jednocześnie jeden z najwyższych wzlotów poezji nie tylko polskiej – światowej! Owszem, zdarzają się poeci całkowicie niezaangażowani, ale ich obojętność na to, co nie jest intymną liryką, uważam za kalectwo, a nie za zaletę. Naturalnie, tu otwieram szeroko drzwi przed zasadniczą polemiką, która ze zmiennym szczęściem toczy się od dawna i, jak sądzę, toczyć się będzie nieustannie aż po granice czasu, chyba, że poeci przestaną przychodzić na świat. *Gwiazdy nade mną, prawo moralne we mnie...* I wszystko co jest do wysłowienia w czułym wzruszeniu, zachwycie, albo w słusznym gniewie i buncie. I gwiazdy kobiecych oczu i błyskawice mistycznych doznań, i płacz nad ludzką krzywdą, i płacz nad ludzką krzywdą, i serdeczna radość na widok jedynego na świecie, niczym nie zastąpionego, ojczystego pejzażu.

Czechowicz był na swój sposób poetą zaangażowanym, raz po raz wyrastając ponad kameralność innych, najbardziej ściszonych wierszy. Gdy we wczesnej młodości marzył, aby *ludu karabinem być z wiosną,* gdy dawał się porywać legendzie starego komendanta, gdy w r. 1938 cieszył się: *rąbek granicy nam wzeszedł* – i gdy groźnie zapowiadał: *przez was runą mury Jerycha*! Zginął młodo, w pełni sił twórczych, przepełniony wielkimi planami i zamiarami. Ciągle zapowiadał napisanie dużego, epickiego poematu, który dojrzewał w nim powoli: Ziemia – gwiazda dziwna. Nie spieszył się jak wielu innych, lękał się przedwczesnego porodu.

Jego próby dramatu były raczej nieudane, choć gdzieniegdzie znać było przejście lwiego pazura. Wystawienie jednoaktówki *Czasu jutrzennego* przyjęte zostało przez krytykę teatralną ze zdziwieniem, przeważnie wzruszano ramionami. Kazimierz Wierzyński, który prowadził felieton teatralny w „Gazecie Polskiej" i z okazji premiery spotkał się z Czechowiczem osobiście, mówił mi później, że w debiutanckiej sztuce jest dużo gęstej mgły, widać niepewną jeszcze, niedoświadczoną rękę, ale nie należy odbierać Czechowiczowi animuszu: Coś w tym tkwi, tylko jeszcze w stanie nie dość wykrystalizowanym... I dał recenzję ze sztuk wielce umiarkowaną. Daremnie zastanawiać się, co by było, gdyby było. Wkrótce po

wybuchu wojny poeta wyszedł z Warszawy na piechotę. Szosa lubelska była nieustannie bombardowana. Garwolin, Markuszów, Kurów stały w ogniu i dymach pożarów. Henryk Domiński, który towarzyszył Czechowiczowi w tej wędrówce, opowiadał następnie Stanisławowi Piętakowi, że autor *Nuty człowieczej* coraz to wpadał w panikę. Ledwie doszedł do niego ryk silników lotniczych, już leżał w przydrożnym rowie.

Przeczucie rychłej śmierci, zawsze obecne w jego poezji, nawiedzało go teraz materialnie. Ale do Lublina doszedł i tu dopiero czekała go śmierć. Spoczął na starym lubelskim cmentarzu, tym cmentarzu, któremu poświęcił jeden z najpiękniejszych swoich utworów, zakończony napisem z drewnianej, na dawną modłę ciosanej, cmentarnej bramy: Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz w dniu ostatecznym. Osobny temat, w dostatecznej mierze, jeżeli się nie mylę, nie uwzględniony przez badaczy i glosatorów twórczości Czechowicza, to autentyczna, choć dyskretnie stonowana religijność jego liryki. On sam lubił mawiać, że słowo Bóg nigdy się u niego nie zjawia, ale najważniejsze wiersze są nasycone triumfującą metafizyką. I nie była to pusta przechwałka. Zaprawdę: Dusze chciał łowić!